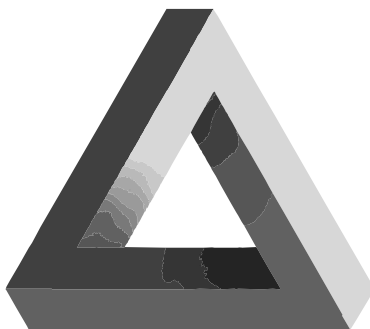
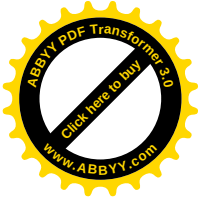
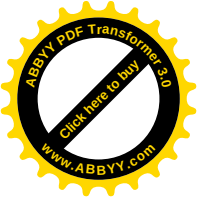




UCIECZKA Z KRÓLESTWA ATRAP

Z Walentiną Charitonową – kierownik Grupy Antropologii Medycznej w Instytucie Etnografii i Antropologii Rosyjskiej Akademii Nauk – rozmawiają Bartosz Jastrzębski i Jędrzej Morawiecki

wytyczenia

humanistycznej,

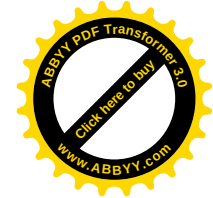
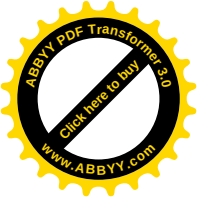
oświeceniową klasyfikacją?

To zależy, o kim rozmawiamy. Jeśli mamy na myśli prawdziwych uczonych, którzy, nie bacząc na koniunkturę, zajmowali się swoją robotą, to nie sędzę, by przeżywali teraz jakiś humanistyczny kryzys tożsamości. Znają poetykę własnej dyscypliny i standardy produkcji naukowej. Rozumieją, gdzie nauka się kończy i gdzie zaczyna się inne, niescientystyczne obserwowanie i opisywanie świata. Inna rzecz, że w latach dziewięćdziesiątych pojawiła się fala ludzi nazywających się uczonymi i nie pojmujących tożsamości własnej dyscypliny. Myślę, że wiąże się to z wysokim statusem społecznym nauczyciela i uczonego w Rosji. Ludzie pragną więc tego zaszczytu, nazywają się doktorami habilitowanymi, w końcu zaś sami zaczynają się nimi czuć. Niektórzy próbują dostać się na poważne konferencje naukowe, w większości przypadków organizują jednak własne zjazdy, niezwykle, gromadzące osobliwą publikę. Co pewien czas pojawiają się w takich miejscach w ramach swoich badań terenowych. Obserwuję tam swoich uzdrowicieli i dziennikarzy o nich piszących. Trafiam jednak również na owych ta-

jemnicznych uczonych, którzy drukują obecnie masę publikacji i świetnie zarabiają – w odróżnieniu od większości humanistów. Mogą więc sobie pozwolić na wyłożenie swoich super-myśli w najbardziej ekskluzywnej formie.

Z tegoż powodu powstała u nas Komisja do Walki z Łżenauką. Słyszeliście o tej organizacji? To niezwykle owoc nauki rosyjskiej, kiełki wyrastające z przeszłości. Tworzy ją kilkudziesięciu akademików, wśród nich był zmarły niedawno Witalij Ginsburg. Wchodzi w jej skład laureaci Nagrody Nobla, ale także biurokraci i dawni działacze partyjni.

Bez cienia wątpliwości można powiedzieć, że cel przyswieca im szczytny. Zaczęli działać w latach dziewięćdziesiątych, kiedy rozpoczęły się u nas jakieś dziwaczne zawirowania i naukę zaczęto mieszać z fantastyką. Nie wiem, czy u was w Polsce było podobnie. W Rosji do tej pory zdarza się, że owi dwaj waczni ludzie tworzą organizację społeczną, najlepiej od razu akademię. Najciekawsza, na jaką trafiłam, to Akademia Nauk Proskopijnych imienia Nostradamusa. Zarejestrowano ją w Paryżu w 2003 roku. Jest takich kuriozów więcej. Ot, na przykład Międzynarodowa Akademia Informatyzacji: ludziom, którzy do niej przystępowali, obiecywano przysyłać bibliografię literatury na konkretne, interesujące ich tematy. Koleżanka z mojego instytutu zapłaciła składkę i raz nawet dostała od nich jakiś dziwny spis, więcej już jednak o nich nie słyszała. Kiedy rozkw-



tły u nas owe kuriozalne akademie, ludziom się coś porobiło w głowach, jeśli wszystko mieszać. Pojechałam raz na ekspedycję do pewnej azjatyckiej republiki. W Stowarzyszeniu Szamanów spotkałam się ze swoim kolegą, doktorem habilitowanym, porządnym, rzetelnym uczonym. Zaczęliśmy rozmawiać, a on nagle wypala: „A wiecie, Walentyno Iwanowno, że jestem teraz podwójnym akademikiem?”. Najpierw pomyślałam, że on żartuje, pytam jednak: „W jakim sensie?”. On na to: „Dwie akademie mianowały mnie akademikiem”. I podaje mi wizytówkę, na niej Międzynarodowa Akademia Informatyzacji i jeszcze druga, podobna. Mówię do niego: „Przepraszam, drogi kolego, nie rozumiem, czy to taki dowcip?”. On się na to obruszył. Jęłam tłumaczyć, że to wszystko nie ma żadnego związku z nauką, że padł ofiarą aferzystów. To odkrycie okazało się dla niego życiową tragedią. Był bowiem przekonany, że zdobył niewyobrażalne szczyty, że osiągnął niemożliwe, został akademikiem, i to podwójnym. Tymczasem utopił po prostu pieniądze (bo to wszystko było płatne). Tłumaczyłam mu, że lepiej, gdyby się wcześniej skonsultował, dowiedziałby się wtedy, że kiedy jest się przyjmowanym na (członka-korespondenta) bądź do grona akademików, nie płaci się za to ani grosza, wręcz odwrotnie, to tobie zaczynają wreszcie płacić. Mówiłam: zamiast im bulić, trzeba było mnie poprosić, taki dyplom też bym wam mogła wystawić, mam w końcu kolorową drukarkę.

Komisja do Spraw Walki z Łżenauką powstała więc po to, by unikać podobnych przypadków, by spróbować wreszcie wszystko uporządkować. Zrobili wiele dobrego również na innych polach, zwalczali na przykład nadmierne przejawy religijności w sferze państwowej. Kiedy zaczęto mówić o wprowadzeniu przedmiotu o Prawie Bożym w szkole, dziesięciu akademików wystosowało list do prezydenta, tłumacząc, że w warunkach naszego kraju to nie jest możliwe, że wiara powinna pozostać wiarą, Cerkiew Cerkwią, a nauka – nauką, nie wolno tych porządków mieszać. Brali nawet udział w niesamowitych procesach sądowych. Ot, na przykład w Petersburgu, gdzie dziewczynka z szóstej czy z siódmej klasy wraz ze swym ojcem – pizatym tatuśkiem, miejscowym wielmożą i przedsiębiorcą – zaskarżyli szkołę za to, że dziewczynka musiała uczyć się o koncepcji Darwina, a przecież wszystko stworzył Pan Bóg i ona nie życzy sobie, by jej do głowy ładowano te pogańskie teorie. No i akademicy musieli ową sprawę poważnie rozpatrywać.

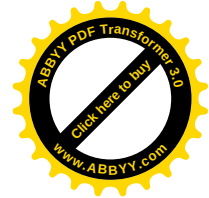
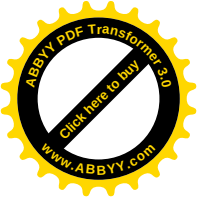
Niestety w innych przypadkach obnażyła się ich słabość, doświadczyłam tego na własnej skórze. W komisji nie ma bowiem przedstawiciela nauk humanistycznych. Dwa lata temu jedna z dziennikarek znalazła moją książkę z 1995 roku, w której porównywałam ludowych uzdrowicieli z czarodziejami, znachorami i szamanami. To była czysta metodologicznie praca etnograficzna, w całości opisowa. Pokazywałam, co robią jedni, co drudzy i jak ich zachowania odnoszą się do kultury tradycyjnej, charakterystycznej dla danego obszaru. Dziewczyna wyszperała książkę po latach i wypuściła w „Komsomolskiej Prawdzie” skromny artykuł, rozpoczynający się od słów: „Rosyjska Akademia Nauk przyznała wreszcie, że na świecie istnieją czarodzieje”. A dalej, nieco mniejszymi literami: „Doktor habilitowany nauk historycznych, wybitna naukowiec z Instytutu Etnologii i Antropologii RAN pisze w swojej książce...”. Wydłubała z mojej pozycji detale, pokleiła cytaty, zmontowała z nich, co chciała. Tekst ukazał się w „Złotej prasie”, a więc w jednym z rosyjskich tabloidów, niemniej został zbudowany w formie imitacji wywiadu, a więc dziennikarka zadawała niby jakieś pytania, a z mojej książki ulepiła quasi-odpowiedzi. Sami jesteście Panowie dziennikarzami, wiecie więc, jak takie kuriozum upichcić. Ja nic o tym nie wiedziałam. Zadzwoiła do mnie koleżanka, pyta o jakiś wywiad dla „Komsomolskiej Prawdy”, a ja w ogóle gazetom żadnych wywiadów nie dawałam. Ta fałszywa rozmowa zyskała rozgłos, zaczęli ją przedrukowywać, odnalazłam ją nawet na Ukrainie. Tym oto sposobem publikacja wpadła w ręce kolegów z Komisji do Walki z Łżenauką. Dyrektor mojego instytutu musiała się gęsto tłumaczyć, objaśniała, że zajmujemy się takimi sprawami naukowo i musimy o nich pisać, udowadniała, iż nie ma to nic w wspólnego z propagowaniem jakichkolwiek wierzeń. Trzeba jednak przyznać, że to są bardzo śliskie tematy.

wizjonerzy,

tajemniczych,

Występują

Oczywiście. Podają tam te swoje tytuły, występują jako profesorowie, jako habilitowani, jako akademicy. Sęk w tym, że to jest niezwykle trudne do weryfikacji. Żebym mogła taki tytuł naukowy sprawdzić, potrzebuję być uzbrojona w pismo z wieloma pieczętkami i skierować je do WAK (Wyższej Komisji Akredytacyjnej). Jeżeli list będzie nadany przez instytut, to



mogę oczekiwać odpowiedzi, jeżeli jednak zapytam prywatnie, nie dowiem się niczego. Z tego właśnie powodu powstała Komisja. Jej powołanie było tym bardziej naglące, że ci farbowani akademicy i profesorowie rzucili się w wir twórczości, księgarnie i biblioteki zaalała rzeka paranaukowej literatury. Proszę postawić się w sytuacji czytelnika z prowincji, który kupuje książkę, na okładce widzi, że pozycja została przygotowana przez 25 akademików, a w środku kompletne brednie. Tymczasem autorytety każą mu w to jednak uwierzyć, każą przezwyciężyć wątpliwości, pewnikiem jest, jak mówią, wiecie, że nauka jakoś do tego doszła. Paradygmat energoinformacyjny jest przy tym rzeczywiście osobiisty, uczeni udowadniają, że świat stworzył Bóg, rozszyfrowują Jego zamysły, wszystko już odczytali i poskładali w całość. Sądzę, że niektórzy z tych teorii mają rzeczywiście jakiś sens, tyle że są sporne na danym etapie rozwoju nauki. Część z tych rzeczy jest jednak jawnie absurdalna. Autorzy owych pozycji są przy tym nieobeznani z kulturą nauki. Piszą, co im przyjdzie do głowy, powołują się na przeróżne instytuty, a ty nie jesteś w stanie nawet sprawdzić, co to w istocie za organizacja. Ciężki orzech do zgryzienia. Tym bardziej że część organizacji powstała jakoby pod egidą UNESCO. Z jednej strony czytam, co tam wyprawiają, i rozumiem, że UNESCO nie mogłoby tego firmować, ale z drugiej strony oni rzeczywiście mają na to jakieś papiery. Niektórzy z tych ludzi zostali po prostu oszukani, część płaciła za tytuły świadomie.

Akademia Nauk Proskopijnych zmieniała co rusz nazwy, integrowała środowisko wokół tak zwanych nauk energoinformacyjnych. W latach dziewięćdziesiątych ogłosili się dyscypliną i jeśli organizować niekończące się konferencje, czasem zupełnie szalone. Wydawali dyplomy, wyprodukowali sporo doktorów habilitowanych i profesorów, którzy w istocie byli kandydatami. No i zaczęło się pomieszanie z poplątaniem. Ludzie zgłaszali się na przykład na moją konferencję i wpisywali w rubryczki: „Prof. dr hab.”. Ja wiedziałam, że żaden z nich nie był habilitowany i żaden profesor, sytuacja skrajnie niezręczna. Zaczęłam więc wymagać, by podawali rok przyznania tytułu, tak żebym mogła wszystko zweryfikować. Część osób przestała na moje konferencje w ogóle się zgłaszać. To specyficzna fala uczonych, część z nich nie miała nigdy nawet tytułu kandydata naukowego i nie byłoby ich w stanie nigdy w normalny sposób zdo-

być. Tacy ludzie rozmywiają granicę, o którą Panowie pytają, granicę między tym, co naukowe i co niefalsyfikowalne.

W opatrywanych religioznawstwo,

Dotykamy teraz ważnego pytania, na które musimy znaleźć w końcu odpowiedź, ale z którym ciągle się zmagamy. Czym jest bowiem właściwie religioznawstwo? Jest taki młody uczynek, stworzył Stowarzyszenie Religioznawcze w MGU, nazywa się Iwar Maksutow. Prowadzi bardzo sensowny portal, czytam ich materiały i widzę, że podkreślają tam ciągle, iż rosyjskie religioznawstwo jest bardzo rozmyte. Sądzę jednak, że owo rozmycie związane jest nie tyle z kondycją nauki, ile z bieżącą sytuacją w kraju, z pozycją religii...

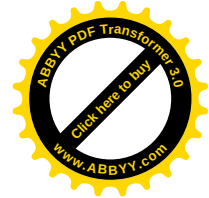
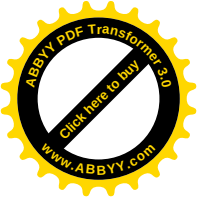
Przede wszystkim. Mówię przy tym nie tyle o codziennym życiu religijnym, ile o przesunięciach na górę, o działaniu cerkiewnej „wierchuszki”

humanistycznych W
legitymizacji humanistyki,
wy tłumaczeniu
technicznych

niektórzy) –

konkurencyjne –

Bez wątpienia – tak. Gra idzie tu o bardzo dużą stawkę. Kwestia owa jest przy tym zdeterminowana przez stosunek państwa do nauki. Od kiedy nastał Putin, humanistykę zaczęto traktować jako jakiś dekoracyjny dodatek, jako taką nie do końca naukę, jako nic poważnego. Humanisci zaś – zgodnie z tym myśleniem – winni zarabiać przede wszystkim poprzez dydaktykę. Wejdźcie do Internetu, przejrzyjcie rosyjskie portale. Toczy się na nich obecnie burzliwa dyskusja dotycząca losów Rosyjskiej Akademii Nauk. Instytucja jako taka zapewne przetrwa, ale co będzie z częścią humanistyczną – trudno powiedzieć. Pierwsza fala już przeszła – dokonano w RAN



poważnych redukcji. To miało oczywiście również pozytywne efekty – kiedy potrząsniesz zastałą, skostniałą strukturą, to masz szansę oczyścić ją z balastu, z niepotrzebnych już elementów. Z drugiej jednak strony skala redukcji była naprawdę dotkliwa. W naszym instytucie ludzi, którzy – jak się zdawało – będą w stanie przetrwać dzięki dodatkowej pracy, poproszono o przejście na połowę etatu. Tak samo uczyniono z osobami, które mogły żyć dzięki zarobkom małżonka. Bardzo nieprzyjemna sytuacja. Boję się, że to nie koniec, że możemy stanąć po raz kolejny przed podobnymi dylematami i ważyć ludzkie losy. Cała reszta to miejscowy naukowy folklor – plotki korytarzowe, baśnie i podania... Z owej szeptaniny dowiadujemy się jednak, że najprawdopodobniej chcą nas ścisnąć do minimum, niewykluczone, że będą łączyć zakłady i instytuty. To dokładnie odwrotna tendencja niż czas pieriestrojki, kiedy to nauki humanistyczne nabrały powietrza w piersi i zaczęły swobodnie oddychać. Wtedy oddzieliła się od nas nawet filia petersburska, obecnie zaś następuje znów konsolidacja. Te problemy wydają mi się jednak wykraczać poza Rosję. Skomercjalizowaliśmy się po prostu i nie potrafimy się utrzymać na powierzchni. Preferowane są sektory związane z przemysłem zbrojeniowym i elektroniką, a cała reszta niechaj karmi się sama. Nauki techniczne dadzą jakiś radę, mogą stworzyć produkt i próbować go gdzieś sprzedać, ale my? Wybaczcie – my produkujemy tylko wiedzę, trudno się wykarmić książkami. Okazało się nagle, że jesteśmy ludźmi niezbyt użytecznymi i – co więcej – raczej

cymi w ramach bliskiej mi dyscypliny, dostrzegam dwie grupy: pierwsza to ludzie, którzy Rosję znają od dawna, którzy badali Syberię, którzy widzieli, w jakich warunkach działaliśmy, jaką płaciliśmy cenę i ile byliśmy wari. Młodzi zachodni naukowcy patrzą na Rosję inaczej. Szczególnie ci z Kanady i Stanów Zjednoczonych. Oni mają już w głowie jakąś gotową, zideologizowaną wizję, budowaną na polaryzacji Wschód–Zachód. Zakładano im, że u nas nie było żadnej nauki humanistycznej, że tu był tylko marksizm-leninizm. Trudno się przez to przebić, trudno wytłumaczyć, że prowadziliśmy tu potężne badania, że my też mieliśmy świetnych specjalistów, a Marksa, Engelsa i Lenina doklejałiśmy do wstępów prac. Młodzież uważa natomiast, że ta doklejona ideologia nasze prace zupełnie dyskredytuje i że można ich w ogóle nie czytać. Taka postawa jest bardzo znacząca, staram się więc o niej mówić na konferencjach międzynarodowych. Powiedziałam o tym w Instytucie Maksa Plancka: macie dwa problemy. Pierwszy: ignorujecie naszą literaturę. Drugi: nie znacie języka, prowadzicie badania terenowe na Syberii przez tłumacza i przez przewodnika. Tę barierę pokoleniową czuje się wyraźnie. Ale to się zmienia. Teraz prowadzimy grupę aspirantów, którzy będą bronić doktoratu pod podwójną opieką, to znaczy mają jednocześnie promotora tutaj i na Zachodzie, są wdrażani w oba standardy naukowe. W tym sensie wierzę, że Wasze pytanie dotyczy raczej prze-

zachodnioeuropejską

rosyjskiej,

zachodnioeuropejskiej,

oświeceniowych

symbolicznych,

humanistyczną

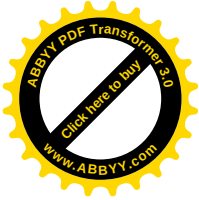
nioeuropejskich?

Nasza nauka szła rzeczywiście własnym torem. Związki ze światem zewnętrznym były upośledzone. Kiedy kanały przepływu informacji otwarto, zaczęliśmy rozumieć, że jesteśmy tacy sami jak oni. A więc – że w istocie nie ma znaczącej granicy mentalnej. W kontaktach z kolegami z Zachodu, działają

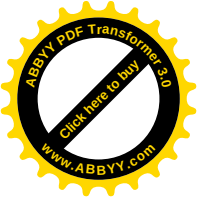
wcześniejsze,

rzeczywistości

Nauka zachodnia produkuje szkoły, w ramach których prowadzi później badania. My nie mamy takiej tradycji. Czasem ich dorobek akceptowaliśmy, czasem odrzucaliśmy, czasem z nimi rywalizowaliśmy. Nawet za żelazną kurtyną wyższej klasy specjaliści musieli wiedzieć – choćby pobieżnie – co robili z drugiej strony. Inna rzecz, że podawano nam to często z odrobiną komentarzem. My na przykład fascynowaliśmy się Lévi-Straussem, którego książki były jednak niesłychanie trudne do zdobycia. Mimo to organizowaliśmy spotkania, dysku-



Jedną z naszych koleżanek posypały się wtedy gromy, zarzucało jej, że bada ludy bez głębszej znajomości kultury i nie do stosowuje metodologii do miejscowych uwarunkowań, nie pojmuje niuansów ich duchowości. Mimo że przepracowała z nimi całe swoje życie... Zaprośiliśmy zatem młodych miejscowych uczonych, oni zaczęli przeproszać, wszystkiego się wyparli, mówili, że krytyka jest jedynie incydentem, indywidualną opinią ich kolegi. Sądzę jednak, że nie byli szczerzy. Wydaje mi się, że choćby część z nich, niesiona porywem pieriestrojowego renesansu, uważała w istocie, że badacze z centrum, z Moskwy, jadą często nieprzygotowani, bez znajomości języka, nazbyt dumni i pewni siebie. I myślę, iż w pewnym stopniu mieli rację. Szczególnie kiedy mówili o badaniu sfery sakralnej, jej zrozumienie bowiem – bez kompetencji językowej i bez zanurzenia się w życie codzienne narodu – jest niezwykle trudne. Generalnie jednak ów spór rozgrywał się na poziomie rywalizujących z sobą grup inteligenckich, reprodukujących podział na centrum i peryferia. Teraz mamy następującą sytuację: opisuje się Rosję z poziomu nauki małych narodów, opisuje ją nauka stołeczna oraz naukowcy zagraniczni. Zagranica próbuje przy tym ominąć Moskwę i nawiązać bezpośredni kontakt z naukowcami miejscowymi. To generuje napięcia. Naukowcy małych narodów nie mają wyrobionego zdania o nauce zagranicznej, a wyrobili sobie już zdanie na temat Moskwy. Sądzę, iż z czasem, kiedy lepiej opanują języki, zyskają dostęp do opracowań zachodnich i zobaczą, jak są opisywani, staną się wobec nich bardziej krytyczni. Pojawia się nowe pretensje. To bardzo ciekawe i nowe zjawisko. Natomiast powracając do wpływu badacza na badany naród – nie sądzę, by ta kwestia była szczególnie bolesna. Etnografowie i folklorysty byli zawsze bardzo ostrożni. Wypracowaliśmy solidną szkołę metodologiczną. Od samego początku, jeszcze jako studenci i aspiranci, byliśmy nauczeni pracować tak, by nie zepsuć własnego pola badawczego, na którym operujemy. Wchodziliśmy z informatorami w przyjacielskie relacje, budowane – że tak powiem – na kontaktach międzyludzkich, w codziennych kontaktach. Należy sobie przy tym uświadomić, że kiedy jedziesz w teren, spotykasz ludzi, których nauka nie interesuje. Nie zajmuje ich, co będziemy pisać, ważne, żebyśmy w ogóle o nich napisali, najlepiej jeszcze podali w książce ich nazwisko. A jeśli umieścisz ich zdjęcie, będą ci wdzięczni do końca życia.



dziewięćdziesiąte,

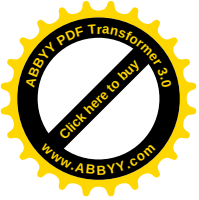
Ja zajmuję się raczej czarodziejami i znachorami, patrzę na nich jako folklorysta, a nie jako religioznawca. Pracowałam rzeczywiście w centrum badania religii, zajmowałam się jednak jedynie Syberią. Proszę więc traktować mój opis z dużą ostrożnością. Sądzę, że w latach dziewięćdziesiątych nastąpił znaczący wzrost zainteresowania religiami narodowymi. Równolegle pracowali na Syberii bardzo aktywnie misjonarze różnych konfessji, którzy zaczęli się pojawiać już w czasie pieriestrojki. Nieśli z sobą ezoterykę, rozwijali ruchy charyzmatyczne. Syberię zalała fala nauczycieli szkolących nowych szamanów. Tak był początek. Potem nastąpił wspomniany już renesans kultur narodowych i towarzyszący mu rozwój tradycyjnych religii. Miejscowa inteligencja była przy tym gotowa przyjąć rolę organizatorów owych struktur religijnych. Przedstawiciele elity intelektualnych zostali nowymi pastorami i przywódcami duchowymi. Naukowcy, profesorowie, przywdziewali szamańskie stroje i odprawiali rytuały. Mieli przewagę, byli lepiej obznajomieni z tradycją, bo znali ją z książek. Rejestrowali organizacje neoszamańskie, pisali statuty, legitymizowali swoją działalność.

W tym samym czasie pojawiały się również prace czysto naukowe, w których próbowano udowodnić, że szamanizm jest w ogóle religią, a zbiorem bliżej nieokreślonych wyobrażeń. W istocie jednak współczesne kultury nie wyrosły z próżni, one miały podglebie w postaci religii, zniszczonych przez rewolucję. Nie mówię tu wcale o nurtach sprzed wielu wieków. Jednym z takich ruchów był na przykład burchanizm, związany z działalnością charyzmatycznego lidera Czeta Czelpanova, który w 1904 roku doznał objawienia i stworzył na Altaju „białą wiarę”, mającą być odpowiedzią dla żółtego lamaizmu i czarnego szamanizmu. Już jednak w czasie rodzenia się owego wyznania część badaczy i dziennikarzy ją utrzymywać, że burchanizm jest dawną religią turecką. Pewien pisarz z Tuwy twierdził nawet, że to najdawniejsza religia na świecie, z której zrodziły się wszystkie inne. To tylko jeden z przykładów częstego w tym czasie legitymizowania tożsamości własnego narodu

poprzez wzmacnianie ruchów religijnych. Inteligencja zrozumiała, iż nowe religie narodowe muszą być silne i spójne. Szamanizm jako taki pozostawiono zaś importowanym i samorodnym neoszamanom. Na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych wszystko zaczęło powoli przycichać. Zmieniła się polityka Kremla wobec religii. Mówi się ciągle o bujnym rozwoju ruchów protestanckich, mówi się nadal o ezoteryce i sektach, które należałoby być może silnie kontrolować czy nawet zwalczać. Prawda jest jednak taka, że owe ruchy zostały po części zepchnięte na peryferie, inne zaś, silniej ukonstytuowane, współpracują zwykle z sobą nawzajem. W świadomości społecznej pogodzone się z potrzebą wspierania dużych, światowych religii i wspieraniem dialogu pomiędzy nimi. Natomiast w europejskiej części Rosji rozkwitło neopogaństwo. Mimo to dalsza dynamika wydaje się podobna do syberyjskiej. Tutaj uwarunkowania wydają się jeszcze prostsze: Cerkiew prawosławna umocniła po prostu swoje pozycje i neopogaństwo automatycznie zeszło do podziemia. Moje badania sugerowałyby więc istnienie wspomnianych trzech etapów, bazując jednak na danych z połowy lat dwutysięcznych. Czy Wasze badania wykazały podobne tendencje?

Religijnych

Te ruchy są ciągle żywotne, dlatego że wiążą się z rosyjską ezoteryką, która od swego wybuchu z końca lat osiemdziesiątych cieszy się niesłabnącą popularnością. Bardzo wiele osób, które rozpoczynały swoje poszukiwania duchowe od zgłębiania ezoteryki, dotarło poprzez nią do neopogaństwa. Z szamanizmem działo się podobnie, odrodził się on poprzez literaturę, tradycja pokoleniowa została już bowiem przerwana. Osoby, które odnalazły w sobie (lub sądziły, iż odnalazły) różnorodne zdolności nadprzyrodzone, zaczęły się zapisywać na kursy hipnozy i bioenergoterapii, otrzymały dyplomy doktorów i doktorów habilitowanych nauk energoinformacyjnych. Później zaś zobaczyły, że ludzie zwracają się w kierunku swoich tradycji ludowych, jęły więc poszukiwać przodków-szamanów,



by wzmocnić w ten sposób swój autorytet i móc samemu nauczać szamanizmu. Czasy mamy niespokojne, ludzie rozmyślają więc ciągle o Bogu, Diable, demonach i tak dalej. To źródło nie wyschnie, bez obaw, ezoteryka będzie w Rosji ciągle popularna. To jak puszka Pandory, już jej nie zamkniemy.

obserwowaliśmy Rosyjskiej

dziewczyny,

(legitymującego

psychoterapią,

najważniejszy

W

wytłumaczyć.

Rozumiecie doskonale, że moja dyscyplina nie jest w stanie odpowiedzieć na takie pytania. Osobiście jednak te sprawy mnie bardzo frapowały, zaczęłam więc organizować projekty interdyscyplinarne, by spróbować wniknąć choćby w niektóre interesujące mnie wymiary, by wyłuskać racjonalne ziarno, oddzielić procesy, które – choć trudne do wytłumaczenia – mogą rzeczywiście zachodzić, od zjawisk, które są już fantazją.

Najciekawszy projekt interdyscyplinarny, który prowadzimy, dotyczy badania fal mózgowych szamana w czasie jego pracy i porównywania ich z obrazem fal mózgowych klienta. To badania neurofizjologiczne, prowadzone pod kierunkiem prof. Niny Swiderskiej, bardzo obiecujące, uwzględniające ponad osiemset różnych parametrów, obrabianych przez specjalnie w tym celu stworzony program komputerowy. Mózg szamana wykonywał podczas seansu pracę, którą można z łatwością podzielić

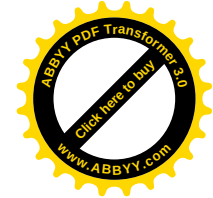
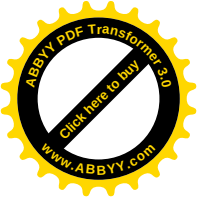
na stadia i lokalizować wzrost aktywności poszczególnych części kory mózgowej na danym etapie seansu. Co znamienne, podczas wykonywania pracy w mózgu szamana buduje się – jak to nazywa Swiderska – oś nadświadomości: aktywizuje się przednia część kory mózgowej w prawej półkuli i płat potyliczny w lewej półkuli. To potwierdziło dotychczasowe hipotezy: szaman wykonuje pracę twórczą, prawa półkula jest bardziej aktywna. Lewa półkula jest przy tej pracy jakby wyłączona. Aktywność werbalna ustaje. Większość szamanów wchodzi w stan medytacji. Jeżeli w trakcie seansu pojawiała się jakakolwiek werbalizacja, była ona natychmiast widoczna w obrazie lewej półkuli, zdarzało się to jednak bardzo rzadko. Aktywizacja sfery wzrokowej świadczyła o widzeniach, o obrazach, które pozwalały transformować własne, wewnętrzne życie duchowe. Co ciekawe, klient z pewnym przesunięciem czasowym generował podobne obrazy. Aktywizacja poszczególnych obszarów mózgowych świadczyła ewidentnie o tym, że u klienta pojawiają się kompatybilne wizje, generowane pozawerbalnie. A więc że szaman oddziałuje na mózg klienta – to jest bezsporne. Większości jednak rzeczy wytłumaczyć nie potrafimy.

Prowadzimy nowe badania, wskazujące na podobieństwo aktywności mózgowej podczas pracy szamana oraz przy głębokich zaburzeniach psychiatrycznych. Syndrom Kandinskiego-Chérambault jest dla mnie jasnym sygnałem, że ktoś może mieć – uświadomione bądź nie – predyspozycje szamańskie bądź uzdrowicielskie, zawsze takim pacjentom przyglądam się ze szczególną uwagą. W latach dziewięćdziesiątych przeprowadzono badania w kilku rosyjskich klinikach psychiatrycznych, które potwierdziły, że w stanach remisji schizofrenii u bardzo wielu pacjentów zwiększają się również zdolności jasnowidzenia. To są już rzeczy ogólnie znane. Prowadziliśmy jednak niedawno nowe badania z szamanem zamkniętym w całkowicie izolowanej komorze. U jego klienta pojawiły się frapujące widzenia. Wyniki wydają się niezwykle obiecujące, nie mogę jednak o nich na razie oficjalnie mówić.

obserwowaliśmy

RAN,

Takie sytuacje się zdarzają, ale w jego przypadku rzecz ma się jeszcze inaczej. Topojew miał już wyższe wykształcenie, wy



kladał na uczelni fizykę. Odkrył jednak w sobie zdolności nadprzyrodzone, zbliżył się do szamanizmu na fali odrodzenia narodowego. Wszyscy się wtedy „zszamanili”, on razem z nimi. Dowiedział się, że jego ojciec był również szamanem, chociaż niepraktykującym (jak wszyscy w czasach radzieckich), chociaż zaś parał się tym rzemiosłem z powodzeniem. Okazało się, że Topojew ma dar. Działa więc jako szaman, ale duszę ma już akademicką, próbuje ciągle pojąć, co się właściwie w jego głowie wyprawia. Dysertację napisał właśnie na temat szamanizmu, później przyszedł do mnie na staż, bierze udział w eksperymentach. Opowiadał, że zmęczyła go praktyka szamańska, bo to ciężka praca, czuje się już wypalony. Dlatego rozdał swoje duchy krewnym, tak jak nakazuje tradycja. Wyrzeczenie się własnego daru jest bardzo trudne, ale to silny człowiek. Prosił niebo o przeniesienie zdolności na innych. Dwa lata temu zniszczył swój bęben. Najpierw dwukrotnie próbował go spalić. Bezskutecznie. Ostatecznie miał widzenie, z nieba zszedł duch, po czym bęben natychmiast spłonął. Wtedy nasz wykładowca fizyki zrozumiał, że jest wreszcie wolny. Duchy-pomocniki, które mu zostały – rozdał pomiędzy bliskich. Jego ojciec zrobił podobnie – właśnie po to, by nie być tak wielkim szamanem, co w Związku Radzieckim było nader kłopotliwe. Rozdał duchy, by później, w lepszych czasach, móc je z powrotem zebrać do kupy. Mamy takich ciekawych historii więcej na naszej katedrze. Rozmawiałam o tych sprawach z Romanem Niestero-wem, widzieliście go podczas zebrania, to ten psycholog, który tak ostro polemizował z szamanem-fizykiem w garniturze. Kłóci się ze wszystkimi, próbuje ciągle pojąć, co się właściwie dzieje pomiędzy szamanem a klientem. Ja mu odpowiadam: „Przecież wasza psychologia dawno to już wyjaśniła”. A on: „Głupio wyjaśniła. Psychologia załatwiła tę sprawę tak samo, jak medycyna, która wszystko, czego nie rozumie, opatruje etykietką: «placebo». Wyjaśnienia naukowe tego, co dzieje się podczas seansów, to na razie stek bzdur”.

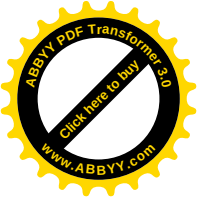
W

katolicyzmu,

chrześcijańskie]

Ta tendencja jest charakterystyczna dla tradycji całej słowiańszczyzny. Strategie przetrwania były podobne: wszyscy

odrzucili dotychczasowe atrybuty zewnętrzne i przyjęli inne – związane z chrześcijaństwem. Ukształtowała się nowa struktura aktu zaklinania, pisałam na ten temat dwutomową książkę. Słowianie nazywali te akty różnorako – wieszczenie, wrózenie, czarowanie – wszystko to się sprowadzało do technik afektywnych, do tańca, głośnych, barwnych rytuałów, które zostały zduszone przez chrześcijaństwo. Składnik afektywny zanikł. Co stało się dalej? Zmienili zewnętrzną, zachowali natomiast to, czego bezpośrednio nie widać. Zaklinanie prowadzone jest teraz po cichutku i ubiera się w chrześcijańskie dekoracje. Rozpoczyna się zwykle od chrześcijańskiej modlitwy i kończy słowami również związanymi z religią chrześcijańską. Wróże używają nawet krzyży, żegnają, mogą jakoby chrzcić, posługują się wodą święconą. W centrum tego spektaklu pozostaje jednak zawsze zakłęcie, które jest dla nich rzeczywistym tekstem roboczym. Zachowali więc jądro, to sprzed wieków. Inna rzecz, że owo przyjmowanie chrześcijańskiej maski spowodowało z czasem ich transformację. Zaklinacze, którzy chcieli się utożsamić z Diablem, a także ci, którzy się go obawiali, wdrożyli się z czasem w praktykę cerkiewną. Pojawiły się w ich repertuarach modlitewniki, niektórzy zaczęli wykorzystywać również owe modlitwy jako nowe teksty robocze, a nie tylko jako fałsz, jak wcześniej. Znam uzdrowicieli, którzy mówią mi na przykład: „Pracuję na «Ojcze nasz»”. Kiedy zaczynam to doprecyzowywać, gdy próbuję wyjaśnić, co mają na myśli, okazuje się, iż modlitwa stanowi dla nich jedynie ramę, że oni wypracowali kilkanaście wariantów przetransformowanego tekstu. Podmieniają na przykład jedno słowo i powiadają: „Jeżeli ten wers przerobię w następujący sposób, to pacjenta przestać nie boleć głowa. Jeżeli pomajstruję bardziej, to modlitwa wyeczy anginę”. To mieści się w ich hierarchii wartości i sprawdza się w ich praktyce. Cerkiew tego oczywiście nie może zaakceptować, utrzymuje, iż owe uzdrowienia pochodzą od fałszywca, ode Złego. Kościół pozostanie na swoim stanowisku, cokolwiek by wróże robili, jakkolwiek usilnie próbowałiby udowodnić, iż wierzą w Boga. Są jednak pojedynczy duchowni prawosławni, którzy błogosławią działalność uzdrowicieli. Są wreszcie i tacy, którzy sami dokonują takich aktów, techniki egzorcystyczne zaliczam bowiem do podobnego typu pracy twórczej, tym bardziej iż również egzorcysty pracują w sposób niezestandaryzowany, bardzo indywidualnie i intuicyjnie. Eg-



zorcyci to zwykle prawdziwi fachowcy od spraw nadprzyrodzonych, silni jasnowidze.

W Rosji działa teraz wiele kościołów. Jako że nie jestem człowiekiem religijnym, jest mi obojętne, z którym z nich pracuję. Swego czasu zainteresowałam się człowiekiem, który do tej pory pozostaje dla mnie zagadką. To był lotnik wojskowy, który był w jawny sposób związany z KGB. Zestrzelono go pewnego razu nad Bejrutem, trafił do Francji, gdzie dokonano na nim kilku poważnych operacji, amputowano mu między innymi nogi. Trzy razy znajdował się w stanie śmierci klinicznej. Miał widzenia. W wyniku owych przeżyć – jak twierdzi – uwierzył w Boga. Teraz nie nazywa się już pułkownik Prokopiew, a ojciec Rafael. Utrzymuje, że odrodził Prawdziwą Cerkiew Katakumbową. Inne ruchy noszące to samo miano, na przykład te, które przeniosły się na Zachód, nie uznają go. W dysydenckim życiu religijnym Moskwy stał się jednak postacią znaczącą. W wywiadach wyklina oficjalną hierarchię. Stworzył organizację, która działa następująco: na parterze jest kościół, w piwnicach pracują zaś na pełny etat uzdrowiciele. Zwykły dom, w środku świątynia, na zapleczu gabinet pułkownika, zupełnie z tyłu zaś – schody prowadzące w dół. Rozmawiałam z nim kilka razy, tłumaczył mi za każdym razem, że jego uzdrowienia pochodzą od Boga, dotknął bowiem Istiny. On wierzy prawdziwie i czysto, ma więc prawo uzdrawiać. Mówię więc do niego: „Wszystko pięknie. Siedzicie w tej kamienicy i uzdrawiacie jako ojciec Rafael. Wasz dar pochodzi od Boga. Ale parę domów dalej pracuje babka Marfa. Ona czerpie wiedzę nie od Stwórcy, a od swojej matki, babki i prababki. Ich rodzina zawsze leczyła i zawsze miała rezultaty. No więc jak? One pomagają ludziom, ale służą Diabłu?”. On na to: „Dokładnie tak jest. One nie są prawdziwe, bo znajdują się poza Kościołem”. Pytam dalej: „Jeśli człowiek zwraca się do uzdrowiciela, to czyni dobrze czy źle?”. „Jeśli jest

człowiekiem wiary i Bóg chce mu pomóc, to przyprowadzi go do mnie. Jeżeli jest grzeszny i błędzi, to trafi do Marfy”. Pułkownik siedzi ze mną, rozmawia, a w tym czasie moja koleżanka ze Szwecji jest na dole, zeszła po cichu do piwnicy i patrzy... Kiedy było już po wszystkim, Szwedka opowiadała mi, że obserwacje były dla niej ekscytujące, uzdrowiciele wywodzili się prosto z nurtów ezoterycznych, opowiadali ciągle o odrąbywaniu energetycznych ogonów, o tkaniu kokonów energii i tak dalej. No i jak te wszystkie sprawy połączyć? Bóg raczy wiedzieć.

Dostrzegam tu jednak analogię do czasów dawnych, sięgam do genezy. Proszę zauważyć, iż kiedyś kostium chrześcijański został wymuszony przez prześladowania, szczególnie intensywne w XI i XII wieku. Teraz mamy do czynienia z podobną tendencją, choć inaczej motywowaną. Weźmy naszego szama – na-wykładowcę fizyki. Zapytałam go raz: „Słuchaj, Walera, czy ty potrzebujesz do pracy specjalnego stroju?”. On na to: „Mogę i bez niego, chociaż w takim stroju pracować łatwiej, odpowiedni ubiór działa na klienta, a i sam jestem dzięki niemu mocniejszy psychicznie”. Pytam dalej: „Kiedyś szamani poświęcali nawet kilka dni intensywnej pracy fizycznej na odprawianiu rytuałów. Ile ty potrzebujesz czasu, by osiągnąć rezultat?”. Walera: „Mogę po prostu siedzieć za stołem i zrobić dokładnie to samo. Czasem zdarzają się wyjątkowe sytuacje, czasem trzeba rekwizytów. Nie rozumiem jednak, po co angażowano się w tę zewnętrzność aż tak bardzo. Po co te wszystkie rozbudowane instrumentarium, wszystkie te szamańskie atrybuty? To miało znaczenie psychoterapeutyczne, ale na rzeczy wistą pracę energetyczną się nie przekładało”. Prawda jest taka, że całą zewnętrzność szamani mogliby zrzucić, wystarczy im jądro. Na owo jądro można zaś nałożyć nowy kostium, atrapę, na przykład iluzję programu psychoterapeutycznego. To jednak tylko maski. Reszta to maski. Iluzja nauki. ■

